

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 8·75 Półrocznie kor. 17·50. Rocznie kor. 35. — Do Niemiec: Kwartalnie 9 kor. 50 hal. Półrocznie 19 kor. — hal. Rocznie 38 kor. — hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 10 kor. 50 hal. Półrocznie 21 kor. 10 hal. Rocznie 42 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 40 h — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 96 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Ćwiertniewski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: **Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 70 halerzy.

Rok XV. Kraków, 23 lutego 1918 Nr. 8.

Dzień protestu w Krakowie.



Organizacye robotnicze przy pomniku Mickiewicza na Rynku.

Treść numeru: Jak zawarto pokój z Ukrainą. — Pamięci Maryana Czerkasa. — Nowa wojna z Rosyą. — Z frontów bojowych i t. d.

Od Wydawnictwa.

Wzrastające wciąż trudności, z jakiemi szczególnie **pisma polskie walczą przy zdobywaniu papieru,** zmusiły nas do **chwilowego** zmniejszenia objętości naszego wydawnictwa o dwie kartki. Nie wątpimy, że Czytelnicy nasi będą mieli nas za wytłumaczonych i uwzględnią specyalnie trudne warunki, w jakich znalazła się obecnie prasa polska, wobec zamknięcia papierni krajowych i czeskich zależna dziś zupełnie od Wiednia. Zwracamy przytem uwagę, że najważniejszy w chwili obecnej **dział aktualnych ill stracyi nie został bynajmniej uszczuplony.**

Dzień protestu w Krakowie.

Wielki dzień przeżyła Polska... Gwałt brzeski, który brutalnym ciosem uderzył w duszę narodu — nie złamał jej bynajmniej, nie pognębił, lecz przeciwnie, zbudził w niej nowe siły do walki z przemocą i niesprawiedliwością... Umilkły spory partyjne, znikły objawy naszej słabości, a cały naród stanął pod jednym sztandarem, przejęty jedną ideą!

Dzień 18. lutego 1918 r. stał się rewią sił narodowych, był wspaniałym dowodem naszej karności i jedności narodu w chwili niebezpieczeństwa. Na tysiącu ulic i placów publicznych podniósł się równocześnie o tej samej godzinie potężny głos protestu przeciw nowemu rozbiorowi Polski!

Wielką była ta chwila zwłaszcza w Krakowie. Tu, na Rynku, gdzie niegdyś składał przysięgę Naczelnik, niezliczone tłumy ludu składały ślubowanie oporu i wytrwania...

Od rana ustał ruch w całem mieście. Zamknięte były wszystkie sklepy, urzędy państwowe i autonomiczne, pracownie, fabryki, kawiarnie, restauracye, tylko apteki zostały otwarte. Cisza zapanowała na ulicach; ustał turkot dorożek; tramwaj wstrzymał ruch. Ani jeden wóz kolei elektrycznej nie wyruszył na miasto. Od godziny dziewiątej cały personal kolejowy wstrzymał się od pracy, tak, że stanęły maszyny i odchodzące o tej porze pociągi. Zawieszono wykłady na uniwersytecie, naukę we wszystkich szkołach średnich i ludowych. Organizacye i stowarzyszenia gromadziły się w oznaczonych miejscach i lokalach, aby stąd wyruszyć na Rynek; nie należący do organizacyi spieszyli pojedynczo lub grupami na Rynek. Nie było jednego przechodnia, któryby nie miał na piersiach kokardki o barwach narodowych.

W porannych godzinach, przed zebraniem na Rynku, odbyły się manifestacyjne posiedzenia Rady miasta Krakowa, Rady powiatowej krakowskiej i Rady wyznaniowej izraelickiej.

O godzinie dziesiątej we wszystkich świątyniach krakowskich odbyły się nabożeństwa przy bardzo licznym udziale publiczności. W katedrze na Wawelu nabożeństwo przy trumnie św. Stanisława odprawił ksiądz-biskup Nowak w asystencyi duchowieństwa. Po nabożeństwach śpiewano pieśni narodowe.

Przed godziną jedenastą Rynek krakowski był już w części zapełniony, zaczęły wchodzić organizacye i różne instytucye. Prawie równocześnie wysuwały się ze wszystkich ulic i kierowały do wyznaczonych dla siebie stanowisk. Z ulicy św. Anny wyszedł Uniwersytet: cały orszak profesorów, senat akademicki i rektor prof. Żorawski w otoczeniu bereł rektorskich, niesionych przez bedelów w togach; dalej tysiączny zastęp młodzieży i słuchaczek. Uniwersytet zajął miejsce około głównej strażnicy wojskowej od strony Sukiennic.



Dzień protestu w Krakowie: Przy trybunie od strony ul. Szewskiej. (Przemówienie p. Weychert-Szymanowskiej)
(Fot. Pierzchalski, Kraków)



Dzień protestu w Krakowie: Tłumy przy trybunie uniwersyteckiej (od strony ul. Brackiej).

Za uniwersytetem w znacznej liczbie szło duchowieństwo świeckie i zakonne, poseł Zieleniewski, Rada powiatowa krakowska, reprezentanci Towarzystw rolniczych, Rada miasta Krakowa *in corpore* z wiceprezydentami, magistrat miasta Krakowa i naczelnicy oraz urzędnicy wszystkich zakładów miejskich, naczelnicy i urzędnicy wszystkich tutejszych władz i urzędów państwowych, krakowska kongregacya kupiecka ze starszym, Drem Henrykiem Szarskim, prezydyum Rady wyznaniowej izraelickiej, Izby adwokacka i notaryalna, Towarzystwo strzeleckie, oraz nauczycielstwo szkół ludowych i wydziałowych. Cała ta wielka grupa ustawiła się od ulicy św. Anny do ulicy Brackiej, naprzeciw głównej strażnicy wojskowej.

Ulicą Szewską weszły korporacye, stowarzyszenia i cechy. Ta grupa, licząca kilka tysięcy osób, zajęła miejsca między ulicami Szewską a Wiślną. Dalej wchodziły na Rynek: ulicą Szczepańską młodzież zakładów naukowych, ulicą Sławkowską związki i stowarzyszenia kobiece, które zajęły całą połać Rynku wzdłuż Linii A B. Tutaj też ustawili się weterani z 1863 roku ze sztandarem. Organizacye robotnicze weszły ulicą Floryańską i zapełniły całą wschodnią część Rynku około pomnika Mickiewicza. Robotnicy szli z dwoma wielkimi czerwonymi sztandarami. Wszyscy mieli czerwone odznaki w formie kwiatków, na końcu szły kobiety, należące do partyi, również z czerwonemi odznakami. Robotnicy stanęli frontem do pomnika, około którego ustawiono czerwone sztandary i tablice z postulatami.

Przed godziną jedenastą Rynek był już zapełniony uczestnikami manifestacyi. Zanim rozpoczęły się mowy, wiele grup śpiewało pieśni narodowe.

Dziesięć minut po godzinie jedenastej z wieży Maryackiej strażnicy odegrali na trąbkach hejnał z melodyą „Boże coś Polskę“, poczem zaraz poczęli wchodzić kolejno mowcy na trybuny. Tematem mów była krytyka traktatu brzeskiego, wykazanie doznanej krzywdy i wezwanie do solidarnej obrony praw narodu i całości ojczyzny.

Trybun było sześć. Jedną z nich można było nazwać uniwersytecką, otaczały ją bowiem berła uniwersyteckie. Około niej ugrupował się senat i profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z trybuny tej przemawiali: Dr. Antoni Beaupré (kons.), X. Masny (duch.), Golińska Daszyńska (soc.), Stroński (zjedn. nar.) i Fichna (mł. ak.). Z innych trybun przemawiali: pod pomnikiem Mickiewicza Grabowski (n. d.), Bobrowski (soc.), Filipowiczowa (soc.), Rusinek (mł. ak.). Z trybuny przy ul. Floryańskiej przemawiali: Dr. Drobner (soc.), Olszewski (n. d.), Kluszyńska (soc.), Róg (liga niez.), Tabaczyński (n. d.). Z trybuny przy wylocie ul. Sławkowskiej przemawiali: Weiner (n. d.), rad. Nowak (p. d.), Kozłowska (Zw. n.), Rzączkowski (lud.), Ostrowski (p. d.). Z trybuny przy ul. Szewskiej przemawiali: pos. Zieleniewski (n. d.), W. Szymanowska (Zw. n.), rad. Kosobudzki (m. d.), Rydel (lud.), Dr Maryan Starzewski (n. d.). Z trybuny przy kościele św. Wojciecha przemawiali: Topinek (soc.), Butrymowicz (p. d.), Dr. Jan Nowicki (n. d.), Dr. Bardel (lud.).



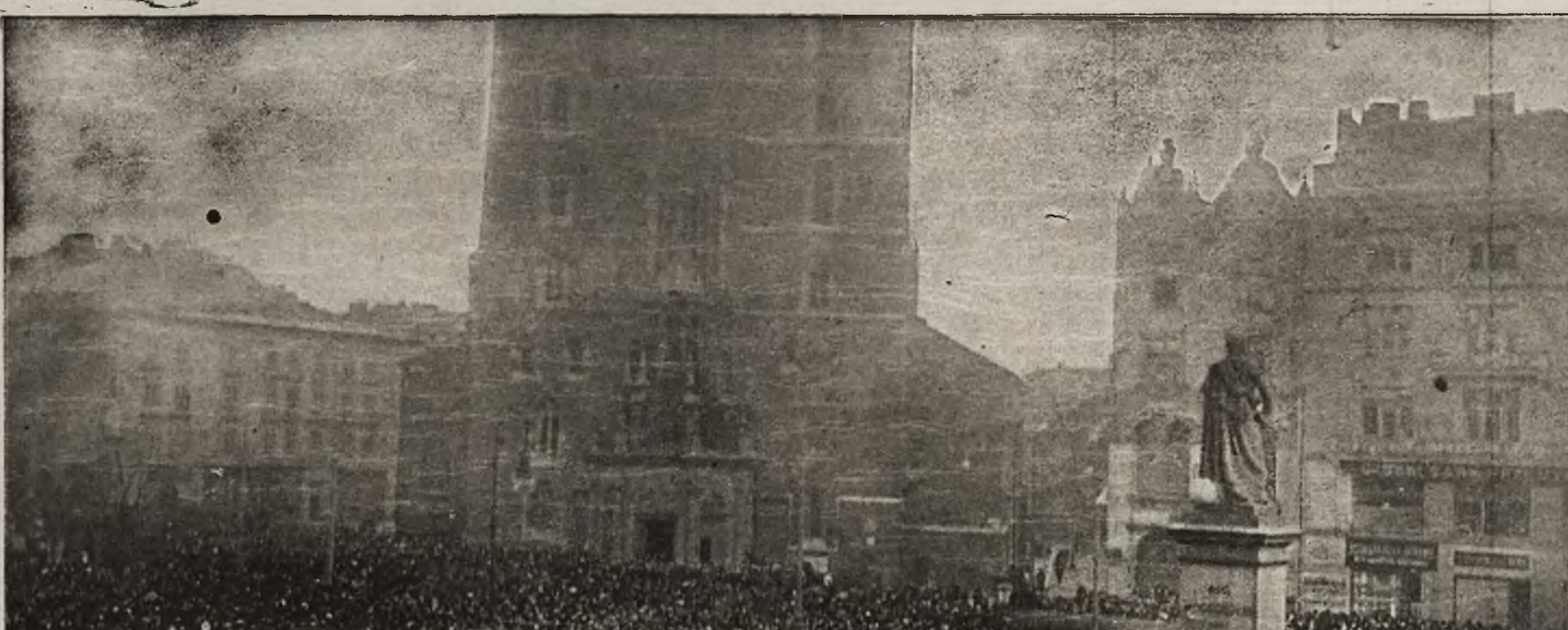
Dzień protestu w Krakowie: Przy trybunie na linii A—B. (Fot. Pierzchalski, Kraków)

Ze wszystkich trybun odczytano odezwę Koła polskiego Izby poselskiej i deklaracye polskich członków Izby panów. Deklaracye te przyjęto okrzykami i burzliwymi oklaskami.

Po mowach odczytano z każdej trybuny rotę ślubowania.

Z pierwszem słowem obnażyły się głowy, ręce wzniosły się w górę. Wśród ciszy uroczystej, w nastroju podniosłym padały wyrazy roty. A gdy z trybuny odezwało się końcowe: „Tak nam dopomóż Bóg!“ — dziesiątki tysięcy głosów podchwyciły je i powtórzyły jednym wykrzykiem, w który wmieszały się natychmiast tony hymnów i pieśni narodowych.

Po ślubowaniu rozeszły się zebrane rzesze wśród największej powagi i spokoju.



Dzień protestu w Krakowie: Część Rynku, od strony kościoła Maryackiego, zapełniona szczelnie manifestującymi tłumami.



Dzień protestu w Krakowie: Moment przysięgi na Rynku, przed domem, w którym niegdyś zamieszkiwał Kościuszko.





Dzień protestu w Krakowie: (Fot. Pierzchalski, Kraków)

Tłumy manifestantów przy strażnicy wojskowej na Rynku.

Uczestnicy manifestacyi po złożeniu przysięgi śpiewają pod pomnikiem Mickiewicza „Rotę".

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich

37

– On mnie chyba nigdy nie kochał? – błysnęła jej myśl rozpaczna.

Coś się w Józi przeistoczyło, zmartwiało, załamało. Nie zapłakała nawet, taka w nią wstąpiła dzika, ponura zaciętość.

Odtelegrafowała: „Nie wrócę – nie przeproszę“.

Zaraz tego samego dnia oświadczyła ojcu, że nie będzie mu dłużej ciężarem, bo poszuka sobie pracy zarobkowej.

Ale na to nie zgodził się Maliniewicz, a raczej Maliniewiczowa. Ta kobieta miała jedno niewzruszone bożyszcze – „opinię“. Wytłumaczyła więc mężowi, że skandal trzeba „zatuszować“ i że Józia musi wyjechać z Krakowa. Nie można pozwolić, aby w swej nieokreślonej roli ni to mężatki, ni to rozwódki, chodziła po mieście i żebrała o pracę. To nie wypada! Coby ludzie na to powiedzieli!...

Radczyni przemogła nawet swoje skąpstwo i zgodziła się, aby Józi dać na podróż i jakąś jeszcze niewielką kwotę na dodatek. I niech jedzie do ciotki!

Józia blada, milcząca, chmurna – nie oponowała. Pieniądze wzięła, nie dziękując, wsiadła na pociąg i pojechała – tylko nie do ciotki, ale do Lwowa.

Ułożyła sobie, że tak będzie najlepiej. Niech nikt nie wie, gdzie ona się obraca. Nie chce niczyjej pomocy, niczyjej opieki. Sama odtąd radzić sobie będzie.

Nie zawiadomiła o swojem postanowieniu nikogo absolutnie. Nawet do ukochanej przyjaciółki, do Anielki Walczakowej, nie napisała ani słowa.

Po przybyciu do Lwowa szczęście sprzyjało jej o tyle, że odrazu pierwszego dnia znalazła ten stosunkowo nie drogi pokoik. Właścicielka mieszkania spoglądała na nią wprawdzie trochę podejrzliwie, pytała o zajęcie, o „mamcię“ i „tacia“, kiedy jednak Józia zapłaciła jej za cały miesiąc z góry, uspokoiła się.

A potem zaczęło się poszukiwanie pracy – mozolne, uciążliwe, pełne gorzkich upokorzeń i rozczarowań. Józia miała sposobność przekonać sie, że nie tak łatwo jest jej zdobyć samodzielny kawałek chleba i że po troszę mieli racyę ci, którzy twierdzieli, że ona jest do niczego.

Przez kilka dni błąkała sie bezplanowo po mieście, którego nie znała. Gdzie się obrócić, jak właściwie szukać tego upragnionego zarobku nie miała pojęcia

Przezwyciężając nieśmiałość, wchodziła do rozmaitych sklepów i więznącym w gardle głosem pytała.

Spoglądano na nią z pewnem zaciekawieniem, ale i z pewną nieufnością.

Najczęściej słyszała odpowiedź:

– Nie potrzebujemy. Niema u nas wolnego miejsca.

Gdzieniegdzie pytano ją, co umie, w jakim dziale dotychczas pracowała, żądano świadectw, poleceń. I znowu odchodziła z niczem.

W jednym sklepie ofiarowano jej bezpłatną praktykę, w innym właściciel zaczął jej mówić takie komplementy że uciekła, jak oparzona.

Kupiła sobie gazetę, czytała chciwie w ogłoszeniach rubrykę: „Prace zaofiarowane“ i szła pod podane adresy. Napróżno jednak.

Sparaliżowana staruszka, poszukująca lektorki i towarzyszki, oświadczyła, że reflektuje na poważniejszą osobę.

– Za młoda pani jesteś... za ładna i pewnie roztrzepana... Myślałabyś o chłopcach i zabawach, zamiast o swoich obowiązkach.

W jakiejś pralni wyśmiano Józię poprostu. I wszędzie spotykała się z odprawą mniej lub więcej grzeczną.

W trzecim dniu tych męczących poszukiwań przeczytała szyld: „Biuro pośrednictwa służby“. Bez wahania zgłosiła się tam. Właścicielka zażądała naprzód dwóch koron wpisowego. Kiedy Józia zapłaciła, podano jej adres jakiejś pani, która poszukuje „lepszej“ służącej do dzieci.

Poszła bardzo chętnie boć za dziećmi przepadała zawsze. Pani zapytała o książeczkę służbową, a posłyszawszy cichą, drżącą odpowiedź: „nie mam“, zmarszczyła się z niezadowoleniem Uważnie przyjrzała się twarzy kandydatki, jej ubraniu i białym delikatnym rękom i powiedziała:

– Nie. Panienka nie dla mnie... nie do takiej roboty.

– A do jakiejże ja roboty właściwie jestem?! – myślała Józia już prawie z rozpaczą – Czyż nic nie znajdę!... I co pocznę !...

Nieprzyzwyczajona do samodzielnego wydatkowania, nie umiała gospodarować skromnym zasobem swojej gotówki. Przerażona była drożyzną, z którą po raz pierwszy zetknęła się bezpośrednio, ale mimo to nieopatrznie rzucała pieniądzmi. Topniały poprostu w jej ręku, choć nawet nie jadła porządnie. Groziła jej ewentualność, że w najbliższym czasie zostanie bez grosza, bez środków do życia – sama w obcem mieście.

Nie przyszło jej jednak przez głowę, że mogłaby upokorzyć się, wrócić do Łykowa lub pojechać do ciotki. Uparła się, zacięła.

Miała jeszcze tylko parę koron w kieszeni, kiedy przechodząc koło cukierni Musiałka, spostrzegła kartkę przypiętą na szybie: „Potrzebna panna do ekspedycyi“.

Weszła, choć już niewiele miała nadziei i posadę otrzymała!

Obie strony były wielce zadowolone z układu. Józia uszczęśliwiona, że znalazła nareszcie jakieś oparcie, a Musiałek zacierał ręce z radości, bo nowa ekspedyentka zgodziła się na pensyę o połowę mniejszą niż b ała jej poprzedniczka.

Przytem wykombinował sobie chytrze, że taka ładna dziewczyna będzie przyciągać „fajnych“ gości.

Odtąd zaczęło się dla Józi życie monotonnej pracy, bezustanna krętanina w deptaku.

Przez cały dzień bywała tak zajętą, że nie miała czasu na żale i wspomnienia.

Tylko w nocy... Ach! te okropne noce.

Zegar na wieży bił północ, a Józia jeszcze nie spała

ROZDZIAŁ XIX.

Pewnego dnia Józia, wysłana przez Musiałkową po jakiś sprawunek, spotkała na ulicy Kornelię Rogoziewiczową. Nie poznała jej zdaleka i opatrzyła się dopiero wtedy, kiedy tuż przed sobą ujrzała fatalnie brzydką twarz w obramowaniu prześlicznych, bujnych, bladozłocistych włosów.

Kornelia powitała ją okrzykiem zdziwienia:

– Panna Józia tutaj, we Lwowie?!

Po swojemu poczciwie i wesoło uśmiechnięta podała Józi rękę.

– Prawda, że to już nie panna, ale pani Józia. No, nie miałam sposobności pogratulować zaraz po ślubie, to teraz składam jak najserdeczniejsze życzenia... Lepiej późno, niż wcale... – zaśmiała się.

Po twarzy Józi przeleciał płomień. Gdyby ta kobieta wiedziała, jak bolesną ironią są jej niewczesne życzenia.

– Dziękuję pani! – wyrzekła z przymusem – A cóż u pani słychać? Mąż zdrowy?... A dzieci...

– Mąż teraz dużo zdrowszy... Tadzik i Zosia łobuzują, a Stefka... no jak Stefka.. Zdaje się, że za panią tęskni, bo często wspomina.

Rogoziewiczowa mówiła jakby z roztargnieniem. Rybie jej wypukłe oczy z wyraźnem zdumieniem spoglądały na Józię. Młoda mężatka wydała się jej niezwykle zmieniona.

Nie dość, że zmizerniała na podziw, wychudła i pobladła, że miała podkrążone oczy i sieci niebieskich żyłek na skroniach, ale skąd to przygasłe, apatyczne spojrzenie, matowy dźwięk głosu, ociężałe ruchy, skąd ten bolesny wyraz ust, które straciły świeżość i barwę szkarłatnego kwiatu.

To jakby nie ta Józia – wiosna, która w śnieżną zawieruchę przynosiła z sobą we włosach zapachy kwiecia, w uśmiechu radość życia, w oczach blask słońca i błękit nieba. Co się stało z tą dziewczyną tak żywą, rezolutną, śmiałą i zalotną?

Szczęście nie spogląda takiemi oczyma... – pomyślała Kornelia i żal się jej zrobiło Józi.

– Pani niezdrowa? – zapytała z akcentem szczerego współczucia.

– O nie! Przeciwnie, jestem zupełnie zdrowa! Ale przepraszam, że pożegnam panią... spieszy mi się.

– Pan mieszka stale we Lwowie?

– To jest niby... tak... ja właściwie tylko chwilowo... – bąkała Józia – Do widzenia pani. Proszę pozdrowić męża... ucałować dzieci...

Strasznie jej było spieszno pożegnać się, usunąć się z pod badawczego spojrzenia Rogoziewiczowej.

– A cioci... panny Korzewskiej nie każe pani pozdrowić?

Józia mieniła się na twarzy.

– Tak... tak... naturalnie... zapomniałam.. Dowidzenia.

– Dowidzenia.

Józia pomknęła dalej, a Kornelia ścigała ją wzrokiem.

– Coś tu jest niejasnego! – zadecydowała – Ale co mi do tego. Widać i piękne kobiety niezawsze bywają szczęśliwe.

Nagle Józia, która uszła już spory kawał drogi zawróciła. Zadyszana od szybkiego chodu podbiegła do Rogoziewiczowej

– Pani Kornelio... ja... ja do pani mam wielką prośbę!

– Ależ proszę!... Cóż takiego?... Niech pani mówi... Jeśli tylko będę mogła...

– Niech pani nie mówi cioci, że mnie pani tutaj spotkała!

Kornelia nakryła oczy powiekami.

– Dobrze, nie powiem.

– Napewno?

– Napewno – odpowiedziała tamta, postanawiając jednocześnie w duchu, że postąpi wręcz odwrotnie.

– Dziękuję pani, bardzo dziękuję.

Pożegnały się po raz drugi. Kornelia obojętnie uśmiechnięta, Józia zmieszana i rozgorączkowana.

Ażeby spełnić polecenie swojej chlebodawczyni, Józia musiała przedostać się na drugi chodnik. Zeszła więc na środek ulicy. Wzburzona spotkaniem z Rogoziewiczową, nie bardzo zważała na tramwaje i dorożki.

– Z drogi! – wrzasnął jej nagle nad uchem woźnica, śmigając w powietrzu batem.

Uskoczyła w bok tak gwałtownie, że o mało co nie upadła. Podniosła przytem głowę i zobaczyła, że w dorożce siedzi wyelegantowany, uśmiechnięty, w cylindrze, z cygarem w ustach nie kto inny, jak Potyrowski! Aż się zatrzęsła z oburzenia.

– To taki podły człowiek jeździ sobie dorożką elegancko ubrany! Widać powodzi mu się znowu dobrze. I co to za sprawiedliwość na świecie!..

Prędko jednak przestała myśleć o Potyrowskim, bo ogarnęła ją trwoga, że zbyt długo bawi na mieście. Co powie pani Musiałkowa?

– – – – – – – – – – – – – – – – –

– Był tutaj jakiś pan i pytał o panią – powiedziała do Józi jej gospodyni.

– Pytał o mnie? Ależ to chyba pomyłka!

– Wyraźnie pytał o panią Józefę Zarnicką. Chciał wiedzieć, kiedy pani bywa w domu. Powiedziałam, że pani wraca późno wieczorem a rano zaraz wychodzi do zajęcia.

– A on co?

– A no nic, podziękował i poszedł.

Józi serce zakołatało szaloną nadzieją. A może, może...

– Nic więcej nie mówił? Nie zostawił żadnego biletu?

– Nic nie zostawił. – Gospodyni szaremi, chytremi oczkami wświdrowała się w twarz swej lokatorki.

– A... a jak wyglądał? Stary, młody, brunet z czarnemi oczyma, wysoki? – pytała gorączkowo Józia.

Po ustach tamtej wił się złośliwy uśmieszek.

– Tak sobie... Dość młody... Ale nie brunet i nie wysoki... I żeby tak prawdę rzec, nie bardzo przystojny.

– To nie Konrad – chwilowy płomień przygasł w oczach Józi.

– Nie wiem, kto to taki – rzekła po chwili już obojętnie – ale wszystko jedno. Dziękuję pani. Dobranoc.

Gospodyni odeszła, mrucząc pod nosem z niechęcią:

– W cukierni jest, a żeby choć kiedy ciastko albo cukierek przyniosła Nieużyta...

Pierwszą osobą, którą Józia nazajutrz rano, po wyściu z domu zobaczyła, był.. Stobiński. Domyśliła sie odrazu, że to on pytał o nią. Gorzkie rozczarowanie uderzyło jej do głowy falą gniewu.

Więc to ten wstrętny, szkaradny człowiek ją odnalazł?! Czego chce?!

Tymczasem Stobiński z bardzo pewną miną podszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pamięci Maryana Czerkasa.

Korespondencya „Nowości Illustrowanych".

Lwów, w lutym.

Z kaplicy Boimów ku cmentarzowi janowskiemu żałobny zdążał kondukt. Odprowadzano zwłoki ofiary tragicznych zajść w dniu 2. lutego, duchowieństwa i sióstr miłosierdzia, a dalej na silnych ramionach młodzieży akademickiej dublańskiej kołysała się smutnie trumna ze zwłokami ś. p. Maryana Czerkasa. Za trumną stroskani i złamani ciosem rodzice, a dalej, dalej przemnogie tłumy, ciągnące się długą kolumną, wśród nagich drzew przydrożnych.

Smutek padł bezbrzeżny na nasze serca polskie i smutnie wszystko płakało, dusząc łzy boleści, co się do oczu cisnęły. Płakały serca młodzi, płakały serca obywateli, płakały serca ojców i matek, braci i sióstr. Z łości tej zawtorował maleńki, może jeden z ostatnich dzwonków kościelnych, dzwonek w kościele OO. Reformatów.



Fragment konduktu pogrzebowego



Kolejarze w orszaku pogrzebowym

Pamięci Maryana Czerkasa:

Manifestacyjny ten kondukt żałobny, ze zwartymi szeregami gorących serc polskich, był aż nadto wyraźnym dowodem polskości starego grodu z nad Pełtwi. Wywarł też powagą swoją i ogromem zebranych tłumów w liczbie przeszło 100 000 potężne wrażenie. Przy wzorowym porządku, przez komitet wykonawczy młodzieży akademickiej utrzymywanym, wśród łagodnych popołudniowych blasków zimowego słońca — była to manifestacya żałobna wprawdzie, ale serdecznie narodowa.

Młodzież wszystkich szkół, najkompletniej staraniem nauczycielstwa zebrana, rozpoczynała pochód.

Grona nauczycielskie za młodzieżą kroczyły poważnie, wyprzedzając imponujące grono kolejowców ze sztandarem i orkiestrą, potem szły liczne zastępy

Wszystko to, począwszy od młodzieży szkolnej obojga płci, a skończywszy na poważnem obywatelstwie, przybrane w kokardy narodowe, przysłonięte żałobnym kirem, ze smutkiem zdążało ku cmentarzowi, by grudką rzuconej ziemi przyczynić się do usypania pamiętnej i drogiej Polakowi mogiłki cmentarnej, by na kwiat tak czysty i niewinny, rzucić wonne wdzięczności kwiecie.

Wśród pochodu jaśniała biel kwiecia bukietów i wieńców, kąpiąc się w amarantowych barwach polskich wstęg, na których złotem lśniły wzruszające napisy. Między owe kwietne wieńce rzucono gdzieniegdzie i wieniec cierniowy, ten, który mimo wszystko, do dziś jeszcze symbolem Ojczyzny być nie przestaje.

Rozkołysany tłum żałobnemi dźwięki pieśni duchowieństwa, płynął wolno i poważnie, a na licu każdego wyczytać można było smutek wielki i żal, jak i niemniejszą dumę, że Ojczyzna ma wielu takich synów, którzy śmiało pierś stawią w jej obronie.

Po dwu godzinach stanęła wreszcie trumna wśród mogił i krzyżów cmentarza. Stanęła nad świeżo wykopanym grobem, gdzie spocząć miały popioły młodzieńca. Tu, po odśpiewaniu przejmujących psalmów pogrzebowych, posypały się gorące słowa pożegnania. S. p. Czerkasa pożegnał wzniosłem przemówieniem reprezentant młodzieży akademickiej lwowskiej i krakowskiej, jeden z profesorów Zmarłego reprezentant kolejarzy i wielu innych, poczem odśpiewano: „Chorał" Ujejskiego i „Rotę" Kono-



Jak zawarto pokój z Ukrainą: Delegaci ukraińscy w Brześciu. Od lewej ku prawej: M. Lubinskij, W. Hołubowicz, M. Lewickij, Lisenko, M. Połosow i Aleksander Sewriuk, który imieniem „republiki ukraińskiej", jako przewodniczący delegacyi, podpisał traktat pokojowy (Fot. Bufa)

pnickiej. W końcu rozległy się potężne dźwięki hymnów: „Boże coś Polskę“ i „Boże Ojcze“, które już w mrokach płynęły skargą i błaganiem: „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!“ *I. Sł.*

Jak zawarto pokój z Ukrainą.

W poprzednim już numerze pisaliśmy obszernie o „pokoju z Ukrainą“ i podaliśmy treść układu brzeskiego, który oddając Chełmszczyznę i Podlasie „republice ukraińskiej“ stał się faktycznie czwartym rozbiorem Polski. W jaki sposób przyszedł do skutku ten krzywdzący Polaków traktat pokojowy, ciekawe informacye podaje „Czas“:

Według ogłoszonego niedawno, bo zaledwie przed trzema tygodniami, projektu ukraińskiej konstytucyi, stanowiła Ukraina składową część rosyjskiej federacyjnej republiki. Do zakresu spraw wspólnych z całą Rosyą należały stosunki międzynarodowe, zawieranie traktatów handlowych z innemi państwami, organizacya dyplomatycznej reprezentacyi, decyzya o wojnie i pokoju, główne dowództwo armii, miary, wagi i waluta, cła i taryfy cłowe poczty, telegrafy i koleje, podstawy prawodawstwa, ustawodawstwo sanitarne itd.

Jak widzimy, wspólność państwowa z Rosyą była tu bardzo ściśle zawarowana i podkreślona. Ukraina nie mogła na własną rękę utrzymywać stosunków międzynarodowych, nie mogła zawierać odrębnych traktatów handlowych i nie miała własnej dyplomatycznej reprezentacyi. Ponieważ zaś powyższe postanowienia zostały uchwalone 23. grudnia 1917 r. przez komisyę konstytucyjną ukraińskiej centralnej Rady, trudno zrozumieć, w jaki sposób i na jakiej prawnej podstawie przyszedł do skutku traktat brzeski.

Rozważając wszystkie okoliczności, towarzyszące jego powstaniu, musi się dojść do przekonania, że niezawisłość Ukrainy stworzyły na prędce państwa centralne. Wystarczy porównać daty. Do połowy stycznia delegacya ukraińska stała na stanowisku federacyi z Rosyą i prowadziła układy równolegle z delegacyą bolszewicko rosyjską. Układy postępowały bardzo powoli i co chwila zachodziła obawa zupełnego ich zerwania, wobec rozmaitych trudności, wysuwanych przez Trockiego. Pełnomocnicy mocarstw centralnych próbują wobec tego traktować odrębnie z Ukraińcami, na co Trocki wprowadza nową na prędce zaimprowizowaną delegacyę ukraińską z Charkowa. Wtedy przewodniczący ukraińskiej delegacyi, Hołubowicz, jedzie — przez Galicyę — do Kijowa, obala dotychczasowy ukraiński sekretaryat jeneralny surogat rządu, tworzy nowy, którego zostaje prezesem, a 24 stycznia centralna ukraińska Rada wydaje „czwarty uniwersał“, już w parę dni po ogłoszeniu znany w Wiedniu. Główny zasadniczy ustęp uniwersału brzmi, jak następuje: odtąd ukraińska ludowa republika stanowi samodzielne, od nikogo niezawisłe, wolne i suwerenne ukraińskie państwo.

Zaimprowizowano zatem na prędce niepodległą Ukrainę, po to tylko, aby módz z nią zawrzeć pokój i traktat handlowy...



Jak zawarto pokój z Ukrainą: Członkowie delegacyi austro-węgierskiej w Brześcin Litewskim. (Woj. kwat. pras.)



Z frontów bojowych: Wydobywanie ciężarowego automobilu, który wpadł w przepaść na włoskim froncie. (Woj. kwat. pras.)



Pamięci Maryana Czerkasa: Grób ś. p. Maryana Czerkasa na cmentarzu janowskim we Lwowie.



Z frontów bojowych: Zbombardowana przez Włochów fabryka w Piniero (Woj. kwat. pras.)

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

13

Słowa, wymówione przez młodego lekarza, przypomniały jej, że omdlenie odkryło jej tajemnicę. Serce jej zaczęło bić przyspieszonem tętnem i głębokie zmieszanie ogarnęło ją nagle.

Frank odgadł co się dzieje w jej duszy i przejęło go silne, gorące współczucie.

Chociaż nie mógł zrozumieć dotąd, dlaczego posłużyła się tem przebraniem, była w tej chwili tak pociągająca w swojem zmieszaniu i wzruszeniu, że wszelka myśl podejrzliwa odbiegła daleko od niego i poddał się zupełnie urokowi, który bił od młodej dziewczyny.

— Niech się pani uspokoi, błagam — wyrzekł łagodnie. — Ma pani we mnie tylko lekarza, dla którego oddawna dyskrecya stała się świętym obowiązkiem i nie potrzebuje się pani obawiać żadnej niedelikatności z mojej strony.

Młoda kobieta podniosła głowę i spojrzenie jej zatrzymało się dłużej na twarzy Franka.

— Dziękuję panu — wyszeptała z trudem — ale jeżeli odwołuję się do pana dyskrecyi, to nie czynię tego dla siebie, proszę mi wierzyć, ale dla tych, którym usłużyć pragnę.

— Nie pytam o pani tajemnicę — odparł Frank z prostotą.

— Wyjawię ją panu sama kiedyś, ale jeżeli waham się z tem jeszcze, pomimo bardzo ważnych okoliczności, w których się znajdujemy, to jedynie dlatego, aby uchronić pana przed niebezpieczeństwami, które grożą panu.

— Mnie? — zawołał Frank ze zdziwieniem.

— Pan tego zrozumieć nie może — odparła z pewnem zniecierpliwieniem.

— Czy nie zechce mi pani wyjawić na moje słowo? — prosił Frank.

— Później.

— Dlaczego nie teraz? Błagam panią, niech mi pani wytłumaczy to wszystko.

Młoda kobieta powstała z trudem z kanapy i Frank dopomógł jej, by usiadła w wygodnym fotelu przy kominku.

— Gdyby pan wiedział, panie Frank — rzekła po chwili — gdyby pan wiedział o celu, jaki sobie obrałam i o wszystkich trudnościach, spotykanych dotąd na mojej drodze! Ale pomimo wszystko nie spocznę, aż posłannictwo swoje doprowadzę do końca. Niech mnie pan posłucha. Już wiele lat upłynęło, jak pewnego dnia byłam zmuszona uciec z Paryża. Byłam wówczas bardzo młoda, dzieckiem prawie, biedna, bez żadnych środków do egzystencyi, ale miałam w sobie uczucie obowiązku, który spełnić musiałam. I nic, słyszy pan, nic od tego powstrzymać mnie nie mogło.

— Ale jakiż cel?...

— Cel ważny i wielki, o którym dowie się pan wkrótce, jeżeli tylko mój biedny ojciec nie przypłacił życiem walki, którą lat tyle staczać musiał. Ja opuściłam wszystko, panie Frank. Lękałam się pobytu w Paryżu, bo wiedziałam już wtedy, że moje życie tu w grę wchodzi i że jeżeli pozostanę, zamordują mnie tak, jak zamordowali teraz mojego ojca.

— Ależ to okropne! — szepnął Frank, patrząc ze współczuciem na młodą kobietę.

— Tak, ma pan słuszność, to jest okropne. Wyjechałam więc, a raczej wyszłam z Paryża, jak nędzarka, żebrząc po drodze, śpiewając po placach publicznych, aby zarobić na kawałek chleba. Nareszcie jednego dnia, to był dzień pamiętny dla mnie, odtąd wierzyłam, że cuda dziać się mogą na świecie, człowiek jakiś przechodzący usłyszał mnie śpiewającą. Byłam wówczas bardzo zmęczona i wynędzniała, ale w śpiew mój wkładałam całą duszę i głos miałam naprawdę niezwykły.

Człowiek ten został nim uderzony i zainteresowany. Słuchał mnie długo, a kiedy w końcu z maleńką tacką w ręce obchodziłam publiczność, rzucił na nią sztukę złota. Od tego dnia los mój zmienił się zupełnie. Ten człowiek zajął się mną szczerze. Kazał mnie kształcić, sprowadził najlepszych metrów, wychowywał jak dziecko rodzone i kiedy dobiegłam lat szesnastu, zadebiutowałam po raz pierwszy w teatrach w Ameryce, gdzie, dzięki mojemu powodzeniu, zyskałam wkrótce sławę i majątek.

Po czterech latach stałam się bogatą. Opiekun mój umarł w tym czasie. Już nie byłam lękliwem dzieckiem z pierwszych lat mojej młodości. Miałam nadzieję niedługiego powrotu do Francyi, do Paryża, dokąd mnie ciągnęła tęsknota za ojcem jednakże, chociaż przypuszczałam, że nieprzyjaciele moi zapomnieli o mnie, lub sądzili może, że umarłam, postanowiłam być ostrożna i nie obudzić ich uwagi. W tym celu zdecydowałam się na zmienienie nazwiska i przebranie się, pod którem tak łatwo poznaćby mnie nie mogli.

Takiem było moje życie — panie Frank, ciągnęła dalej młoda kobieta — co zaś do celu, który jeszcze do czasu ukrywać przed panem jestem zmuszona, ważny on jest i wielki, jak panu już powiedziałam i mam nadzieję, że wkrótce zapoznać pana będę z nim mogła.

Frank z wytężoną uwagą, nie przerywając, wysłuchał opowiadania młodej kobiety. Kiedy skończyła, ujął łagodnym ruchem jej rękę.

— Życie pani, to romans prawdziwy — rzekł ze wzruszeniem — i podziwiam się, z jaką pani przeszła przez wszystkie ciężkie próby, których los pani nie oszczędził.

— Spełniałam tylko swój obowiązek — odpowiedziała Fernanda z prostotą.

— Ale mogła pani nie dopiąć zamierzonego celu.

— W najgorszym razie pozostałoby mi głębokie zadowolenie, że uczyniłam wszystko, co możebne, aby zwyciężyć.

— Ale niebezpieczeństwo nie ustało jeszcze i ci, którzy zamordowali ojca, mogą być jeszcze groźni dla córki.

Na ustach Fernandy przewinął się uśmiech żałosny.

— Och! Teraz — rzekła z dziwnem brzmieniem w głosie — zaczynam nabierać nadziei, panie Frank, że dochodzimy już nareszcie do celu i jeżeli wypadnie mi oddać życie dla tych, których losem się zajmuję, to oddam je z radością.

Młody doktor nie odpowiedział zaraz. Im dłużej słuchał opowiadania młodej kobiety tem silniej dręczyły go wątpliwości, których się był już pozbył i zapytywał się niespokojnie, co prawdą, a co kłamstwem było w tem wszystkiem

Fernanda zamilkła również, zatopiona w myślach

Czy może odgadła ukryte wahania Franka i czuła się niemi urażona? Pragnęła gorąco wyjść z tej sytuacyi, która im obojgu ciężyć zaczynała.

W końcu powstała nagle, jakgdyby powzięła jakieś postanowienie i pocisnęła dzwonek nerwowym ruchem.

Na to wezwanie wszedł służący.

— Jakóbie — rzekła — każ zaprządz do powozu.

I natychmiast pobiegła do drugiego pokoju po płaszcz szeroki, którym okryła ramiona.

— Pani wychodzi? — zapytał Frank zdziwiony jej zachowaniem.

— Będzie mi pan towarzyszył, nieprawdaż? — rzuciła żywo Fernanda.

— Ale nie wiem...

— Pańska obecność jest tam konieczną.

— Gdzie się pani chce udać?

— Do Złotej Dzielnicy — wymówiła młoda kobieta z szczególnym akcentem.

Frank poszukał kapelusza i skłonił się przed nią.

— Jedźmy więc — rzekł stanowczym tonem.

— Pana przyjaciel znajduje się już tam, o ile mi się zdaje.

— Zapewne.

— A więc pojedziemy do niego, panie Frank i w obecności mojego ojca będę mogła odkryć panu to, coś wiedzieć powinien.

Kiedy zeszli ze schodów, powóz oczekiwał już przed domem. Na rozkaz Fernandy, dany stangretowi, konie ruszyły wyciągniętym kłusem.

W pół godziny byli na miejscu.

Młoda kobieta kazała stanąć w pewnej odległości, wysiadła szybko i ująwszy ramię Franka, skierowała się do domku, w którym nocy poprzedniej rozmawiała z ojcem.

Złota Dzielnica, widziana w jasny dzień, miała wygląd jeszcze bardziej odstraszający i nędzny. Zdawała się być teraz zupełnie opustoszałą. Poprzez rozwalone drzwi lepianek widzieć było można kilka starych kobiet i starców w łachmanach, poruszających się leniwo w grząskiem błocie, zalegającem mieszkania.

Wzrok Franka nie zatrzymał się na tym ponurym widoku. Był zanadto zaintrygowany, aby mógł się zająć czemkolwiek innem. Wyczuwał, że Fernanda, równie jak on, podniecona była i wzburzona.

Od wyjazdu z domu młodej kobiety zaledwie zamienili ze sobą słów parę. Zdawało się, że oboje byli pod wrażeniem jakichś nowych a silnych uczuć i ulegali wpływom jakiejś siły wyższej, której się oprzeć nie mogli.

Rozumieli, że los ich rozgrywał się w tej decydującej chwili i byli tem głęboko poruszeni i zmieszani.

Nareszcie doszli do domku ojca Andrzeja i Fernanda nagle porzuciła ramię Franka. Lopez stał na progu i ujrzawszy ich, położył palec na ustach, nakazując im spokój i milczenie.

— Ojciec mój! Ojciec! — zawołała Fernanda, podbiegając do niego. Lopez w milczeniu wszedł do wnętrza lepianki i ręką wskazał starca, leżącego na sienniku. Blady był i zmieniony, leżał jak martwy, nie dając żadnej oznaki życia.

— Nie żyje! — zawołała młoda kobieta, padając na kolana przed nim.

Lopez przecząco poruszył głową.

— Nie — odpowiedział poważnym głosem — żyje, ale przyznaję, że już tracę nadzieję.

— Mój Boże! Mój Boże! — rozpaczała Fernanda.

— Rana jest głęboka i zdaje się śmiertelna.

Fernanda jednym skokiem znalazła się przy Franku i chwyciła go za rękę.

Och! Błagam pana, ratuj go! — załkała bezsilnie. — Ty jeden możesz to uczynić. Przez litość, ratuj go! Niech mnie zobaczy... niech mnie pozna... niech mnie chociaż pobłogosławi przed śmiercią.

Frank podszedł do starca, zbadał puls, przyłożył głowę do piersi i nie wymówił słowa.

— No więc co? — nalegała Fernanda, śledząc wyraz jego twarzy niespokojnie.

— On już jest zgubiony! — wymówił Frank smutno.

— Ale on jeszcze żyje... Oddycha jeszcze, nieprawdaż? Nie! nie, to niemożliwe! On musi być uratowany!

— Cicho! Cicho! — szepnął Frank rozkazująco.

Odsunął delikatnie młodą kobietę i usiłował unieść starca. Głębokie, ciężkie westchnienie, podobne do jęku, wyrwało się z jego piersi.

— On odzyskuje przytomność! — zawołała Fernanda z wybuchem szalonej radości.

Starzec otworzył oczy i skierował spojrzenie na młodą kobietę; spojrzenie to było szklane, bez życia.

Ale nagły widok córki wstrząsnął całym jego organizmem. Nerwowy dreszcz przebiegł jego ciało, ramiona wyciągnęły się konwulsyjnym ruchem, a z piersi wydobyło się długie, stłumione rzężenie.

— Ojcze mój! To ja! To twoja córka! — szepnęła Fernanda, łkając boleśnie, wpatrzona z rozpaczą w bladą twarz starca. — Czy mnie nie poznajesz?

Na sinych wargach ojca Andrzeja zabłąkał się blady uśmiech, potrząsnął lekko głową i dwie duże łzy stoczyły się po jego twarzy.

Poznał Fernandę.

— Ach! Panie! — zawołała młoda kobieta, zwracając się do Franka — on mnie poznał... płacze... Uratowany jest, prawda? Niech pan odpowie. Och! już teraz mówić nie może. To niemożliwe! Błagam pana, odpowiedz mi... Uspokój...

Frank zamierzał już coś odpowiedzieć, kiedy starzec ostatnim wysiłkiem gasnącej woli wpatrzył się w niego przenikliwym wzrokiem.

— On! — wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem — On! — i drżącą ręką wskazał Fernandzie skrzyneczkę, umieszczoną przy łóżku.

— Tam... — dodał z trudem — tam... zemsta... dla nich... kara... śmierć... Paskal... morderstwo...

Ale ten wysiłek wyczerpał resztę energii, jaka się w nim tliła, wskótce opadł bezwładnie, szepcąc imię Fernandy.

Tymczasem na gest, uczyniony przez umierającego, Lopez rzucił się ku wskazanej skrzyneczce i otwarł ją szybko. Znajdowało się tam kilka przedmiotów dosyć wielkiej wartości. Łańcuszek złoty, przy którym wisiał medalion z hrabiowską koroną, zegarek wysadzany drogimi kamieniami, rewolwer, w końcu kilka papierów z tą samą pieczątką hrabiowską.

(Ciąg dalszy nastąpi)





„Pan Jowialski“ w teatrze im. Słowackiego:
Grupa wykonawców w kostyumach z aktu drugiego.
Wykonawcy pp. Czaplińska, Noskowski (siedzą), Węgierko (na ziemi), Solska, Rotter, Żurski, Zelwerowicz, Osiwd i Rdzawicz (stoją).

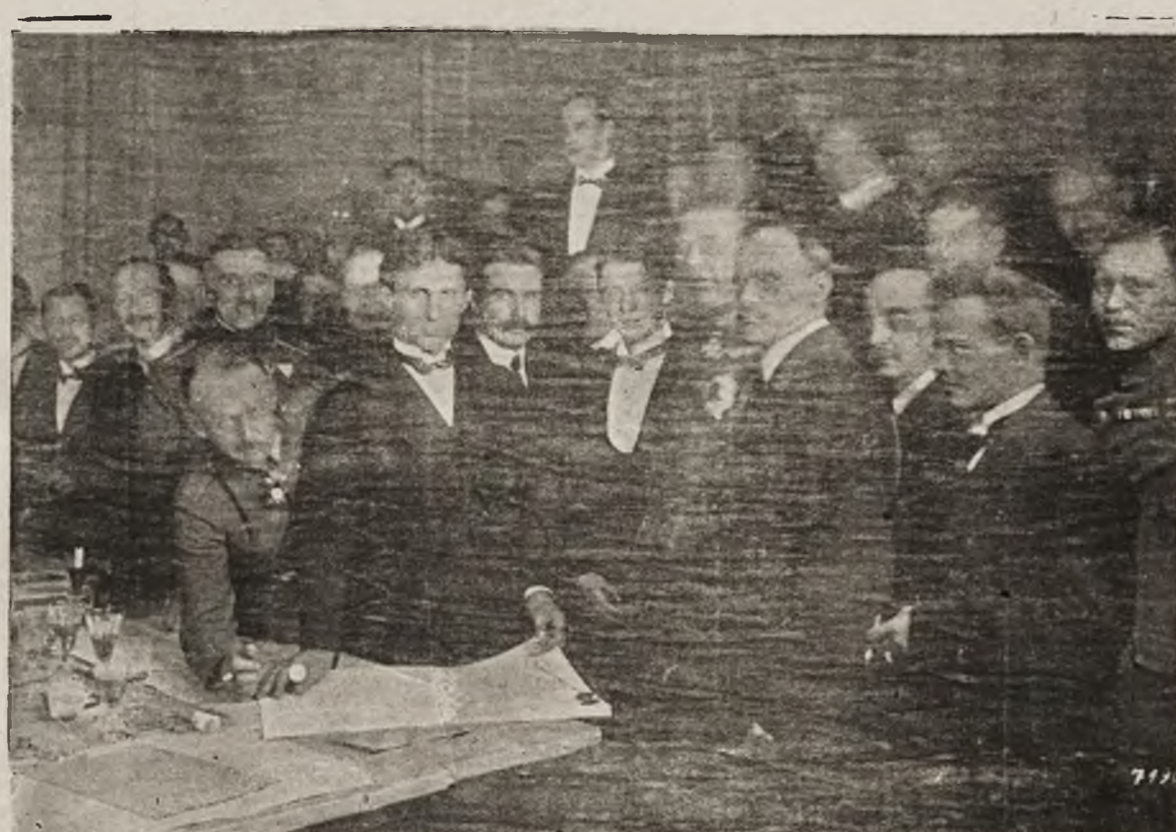
„Pan Jowialski“ w teatrze im. Słowackiego.

Teatr im. Słowackiego wystawił w ubiegłym miesiącu arcydzieło komedyi polskiej „Pana Jowialskiego“ Aleksandra hr. Fredry, w nowej inscenizacyi reżysera Aleksandra Zelwerowicza. Dramat krakowski, wierny kultowi dla Fredry, nadał „Panu Jowialskiemu“ możliwie najświetniejszą oprawę sceniczną, a doskonała obsada, którą tworzyli pp. Solska (Helena), Rotter (szambelanowa) Czaplińska (pani Jowialska) oraz panowie: Noskowski (pan Jowialski), Zelwerowicz (szambelan), Żurski (Janusz), Węgierko (Wiktor) i Rdzawicz (Ludmir) stworzyli z tego wznowienia istotną atrakcyę.

Powszechną sympatyę zdobywa pełna słonecznego kolorytu dekoracya p. Wierciaka. Pomysłowa pantomina w akcie pierwszym, pod wtór muzyki prof. Jachimeckiego, wywołuje burze oklasków. Oryginalne kostyumy, pomysłu Karola Frycza, zdobyły wielki sukces u krytyki i publiczności. Podajemy w tym numerze zdjęcia z tego tak niezwykłego wznowienia, które pomimo trudnych warunków wojennych osiągnęło pełny sukces artystyczny.



„Pan Jowialski“ w teatrze im. Słowackiego: Reżyser Aleksander Zelwerowicz w świetnej kreacyi Szambelana.



Jak zawarto pokój z Ukrainą: Przedstawiciele Ukrainy po ostatniem posiedzeniu w nocy z 8 na 9 lutego, przy wyciskaniu pieczęci na traktacie pokojowym. W środku od lewej ku prawej: Major Brinkman, Mikołaj Lubińskij, Mikołaj Lewickij, Aleksander Sewrjuk jan. Hoffmann. (Fot. Bufa)



Dalsze protesty w Krakowie: Przy trybunie na Rynku u wylotu ul. Sławkowskiej.

Kronika tygodniowa.

Zaznaczając w poprzedniej kronice, iż na czas wielkopostny należy się rozglądnąć za odpowiednimi tematami. mogącymi nadać się do smutnych rozmyślań, ani nawet nie przypuszczałem, iż słowa te wypowiem, a raczej napiszę w tak nieszczęśliwą chwilę... Jeszcze nie wyschło należycie kronikarskie pióro, gdy nadeszła z Brześcia Litewskiego poruszająca każdego do głębi wiadomość o podpisaniu przez przedstawicieli mocarstw centralnych układu pokojowego z delegatami ukraińskiej republiki.

Fakt sam, zapowiadający tak przez wszystkich upragnione zakończenie wojny, choć może jeszcze bardzo problematyczne i dalekie. byłby się z pewnością spotkał z ogólnem uznaniem i wywołał powszechną radość, gdyby nie warunki, w jakich i na jakich go do skutku doprowadzono!

Po ogłoszeniu znanego aktu monarchów sprzymierzonych z dnia 5 listopada ożyła i wzmogła się w społeczeństwie naszem nadzieja, że jesteśmy już bliscy spełnienia się ideałów, za które dziadowie i ojcowie nasi krew przelewali, a i obecne pokolenie obfite jej wytoczyło potoki, jednem słowem, że stoimy w przededniu tej wielkiej dziejowej chwili. kiedy danem nam będzie oglądać Ojczyznę naszą wolną i niepodległą i odetchnąć swobodną piersią po stu przeszło latach niewoli, gdy oto jedno pociągnięcie pióra zniweczyło wszystkie te nadzieje...

Dokonali tego dyplomaci mocarstw centralnych, więc właśnie tych, które wydały wyżej wspomniany manifest z dnia 5 listopada, dając nam przez to poznać, że bynajmniej nie myślą o spełnieniu danych przyrzeczeń, tylko własne swe interesy mając na względzie. Widocznie w Berlinie i we Wiedniu doszły sfery decydujące do przekonania, że Polacy wypełnili już swą powinność, wobec czego można przejść nad nimi do porządku dziennego, dla nich korzystnego, czyli... puścić ich z kwitkiem.

Od pierwszej chwili, gdy zdawało się, że zaczyna nam świtać jutrzenka wolności, dawano nam niejednokrotnie do poznania. czego się możemy spodziewać, to jest, że nie należy bynajmniej żywić nadziei, by nam odbudowano Ojczyznę naszą w tych granicach, jakie dawniej posiadała, więc od morza do morza, ale równocześnie dodawano. że powinniśmy być spokojni i służyć wiernie, gdyż krzywda nam się nie stanie.

Jedni z naszych polityków kiwali głowami, nie dowierzając obietnicom, na których się już nieraz zawiedli drudzy natomiast nie posiadali się z radości, że będziemy mieć nareszcie nad głową własny dach, a na nim bodaj komin, prowadzący ku morzu. Kominem owym miała być międzynarodowa Wisła.

Gdy się powoli oswojono już z tą ewentualnością, skoro racya stanu na inne rozwiązanie sprawy nie pozwala, dodano niebawem, że pewne części Królestwa Polskiego muszą być przyłączone do Prus, celem gospodarczego ich zabezpieczenia. Na zapowiedź tę nie zwrócono takiej uwagi, jak na to zasługiwała a politycy z nad Sprewy zacierali już ręce z radości, że poczciwi Polacy zgodzą się na wszystko, byle tylko nie przysparzać kłopotu swym dobrodziejom, tylko ich dobro mającym na celu.

I znów niektórzy z Polaków kiwali z niezadowoleniem głowami, ale pocieszali się tą myślą że to przecież nie jest jeszcze ostatnie słowo i że i nam, jako najbardziej interesowanym, danem będzie zabranie głosu zanim przyjdzie do ostatecznego załatwienia sprawy.

Ale tego właśnie zabrania głosu interesowanych, mających się stać poszkodowanymi, widocznie się obawiano. skoro, choć na papierze uznano aktywowanie wolnej i niepodległej Polski, mającej nawet i Radę regencyjną oraz własny gabinet, nie dopuszczono jej przedstawicielstwa do wzięcia udziału w rokowaniach pokojowych w Brześciu Litewskim. A jeśli kto, to chyba Polacy, o których skóre się głównie rozchodzi, byli do tego przecież najbardziej powołani. Potrafiono jednak uspokoić znowu opinię publiczną zapewnieniem, iż „opiekuńcze“ mocarstwa nie pozwolą na to, byśmy mieli ponieść jakąś szkodę.

W dawnych czasach, choć nie są one tak dawne, bo nie liczą się nawet na lat dziesiątki, ale na pojedyncze lata, o Polsce nic się nie mówiło, tem zaś mniej pisało. Wówczas na porządku dziennym były sprawy Albanii, los Mirydytów i Malissorów, nad którymi dyplomacya europejska załamywała ręce i poruszała wszystkie sprężyny, by się im przypadkowo nie stała krzywda, co byłoby po wieczne czasy hańbą dla cywilizowanej Europy.

Z chwilą wybuchu obecnej wojny wypłynęła natomiast na wierzch sprawa polska. o tamtych zapomniano. Dyplomacya europejska, a nawet i światowa, przypomniały sobie, że istnieją Polacy, na trzy części rozdzieleni, ponieważ zaś mogą i muszą w tych zapasach ważną odegrać rolę, należy coś przecież dla nich zrobić, bodaj coś im obiecać.

Rozpoczęły się więc przetargi licytacyjne, kto może obiecać, ewantualnie i dać więcej ostatecznie przy licytacyi utrzymała się środkowa Europa, a Polacy otrzymali swych urzędowych opiekunów, w osobach berlińskich i idących tamtym na rękę dyplomatów wiedeńskich.

Opiekunów już nieraz mieliśmy, jak zaś na tej opiece się wyszło, tego dowodem utrata naszej niepodległości i wykreślenie Polski z listy organizmów żyjących.

I mieli racyę dyplomaci. W obecnej wojnie terytorya polskie odegrały ważną rolę, jak o tem świadczą ruiny i zgliszcza na miejscu dawniej kwitnących miast, wsi i osad i tysiące mogił. kryjących zwłoki kwiatu naszej młodzieży, padłej na polu chwały „za sprawę waszą i naszą...“

Jakiż jednak rezultat tej opieki dotąd i czego możemy się jeszcze w przyszłości spodziewać?

Jak już wyżej zaznaczyłem, decydujące sfery, choć miały zajętą głowę wojną, nie zapomniały przecież o żadnej sposobności, by nam dać poznać, że nie należy mieć zbyt daleko idących aspiracyi by się potem nie narazić na przykre rozczarowanie. Wytłumaczono nam więc że obejdziemy się najzupełniej bez bezpośredniego dostępu do morza, że leży to nawet w interesie powstającego państwa, aby miało jak najmniejszy obszar, wobec czego Litwa, Inflanty itd. przypadną tym, którzy jej koniecznie potrzebują. ale zato ziemie czysto polskie (z wyjątkiem jedynie tego, co niezbędnem jest dla zabezpieczenia gospodarczego Prus...“), dostaną się stanowczo i niepodzielnie Polsce, która wobec tego może spać spokojnie.

I spała też spokojnie, ale jakże przykrem było przebudzenie... Było niem wylanie kubła zimnej wody, zapewne celem otrzeźwienia „zapaleńców“, a wiekopomnego owego aktu dokonano w same karnawałowe ostatki, prawdopodobnie dlatego, byśmy się mogli cieszyć tem, jak o nas „opiekunowie“ pamiętają, a poza tem mieli odpowiedni materyał do wielkopostnych rozmyślań.

Tym kubłem zimnej wody, który na nas wylano, to nowy podział Polski i wykrojenie z jej żywego organizmu potężnego kawała ziemi, zamieszkałego prawie wyłącznie przez ludność czującą po polsku i przyznającą się stale i otwarcie do polskości, czego już niejednokrotnie dawała dowody Ofiarowano go wspaniałomyślnie nowo powstającej Ukrainie, w zamian za pewne *quantum* zboża, mającego służyć do nasycenia zgłodniałych centralnych żołądków.

A stało się to w czasie, gdy się głosi, że każdy naród ma prawo samostanowienia o sobie i swym losie!

Tak postanowiła dyplomacya przy zielonym stoliku i to uważanem jest obecnie w Wiedniu i Berlinie za ogromny sukces centralnych polityków, czego dowodem owacye, jakie urządzono hr. Czerninowi po powrocie do Wiednia. Z tej racyi wygłosił i cesarz Wilhelm mowę, w której zaznaczył, wskazując na Ukrainę, zgadzającą się dobrowolnie na zawarcie pokoju, że, kto nie pójdzie w jej ślady, tego się zmusi do tego. Zachodzi tylko obawa, czy wystarczy podobnych, jak ten, prezentów dla wszystkich, zgłaszających się z propozycyami pokojowemi.

Cudzym kosztem robić innym niespodzianki, to rzecz bardzo łatwa Dyplomaci centralni nie wymyślili zresztą nic nowego, wstąpili tylko w ślady ś. p. Onufrego Zagłoby, który w swoim czasie na tej samej, którą oni darowali Ukrainie, ziemi, ofiarował wspaniałomyślnie królowi szwedzkiemu... Niderlandy.

Jak się na ową darowiznę zapatruje Ukraina, tego jeszcze nie wiemy, ale wnosić należy, że nie spodziewała się tak rychło i tak wielkopańskiego prezentu, gdyż, na razie przynajmniej, zamilkła z podziwu i czeka... Sen to, czy rzeczywistość, tak myślą sobie ukraińscy politycy, od dawna, co prawda, ostrzący sobie zęby na ziemię chełmską, do czego się niejednokrotnie zupełnie otwarcie przyznawali.

Dokonano więc na naszym narodzie nowego gwałtu, o pomstę do Boga wołającego, a tem dla nas boleśniejszego, że spadł na nas w chwili, w której spodziewaliśmy się zupełnie innej nagrody za te strumienie krwi serdecznej, jaką synowie i bracia nasi zrosili niemal wszystkie pobojowiska Europy. Była to jednak równocześnie i owa kropla, która przelała kielich goryczy, będący stałym naszym udziałem i w samej rzeczy podziałała otrzeźwiająco na tych optymistów, którzy wierzyli jeszcze w dobre intencye obiecujących i spełnienie ich solennych, bo nawet wydanych na piśmie przyrzeczeń.

I nic też dziwnego, że fakt ten wywołał w społeczeństwie polskiem łatwo zrozumiałe rozgoryczenie, które podzielają nawet obcy, trzeźwo się na sytuacyę zapatrujący.

— Nie tędy droga łaskawi panowie! — można powiedzieć śmiało dyplomatom. — W ten sposób nie dojdziecie do upragnionego celu, owszem, bardzo łatwo osiągnąć możecie skutki zgoła przez was niepożądane! Bezprawie nigdy prawa nie zastąpi, nie zastąpi go też i siła, która prędzej czy później zwrócić się musi przeciw tym. co ją chcą zamiast prawa stosować.

Powtórzyła się znowu stara historya o baranie który jeszcze żyje, a już o jego skórę odbywają się przetargi i to tem bardziej odpowiadająca rzeczywistości, ile że to był w samej rzeczy baranek bardzo potulny i łaskawy, który służył chętnie każdemu i pozwolił się strzydz, czy kto miał do tego prawo, czy nie. Ale wszystko musi mieć swój koniec, mieć go więc powinna i owa barania uległość. Widząc jaka go spotyka. za jego dotychczasowe wysługiwanie się innym, nagroda, przypomni sobie może że nie od parady nosi rogi na głowie i upomni się wreszcie o to, co mu się słusznie należy. Nie żąda zaś niczego nadzwyczajnego. żądania jego streszczają się krótko: „Cudzego nie pragnę. swego ruszyć nie pozwolę!...“

Zapytać się teraz należy, choćby tylko z prostej ciekawości, co też robili nasi wielcy politycy. zwłaszcza nad Dunajem, bo jest ich tam więcej niż gdzieindziej i bardziej wolną mają rękę działania, iż nie wiedzieli co się koło nich dzieje. To bowiem, co się stało nie jest bynajmniej dziełem jednej chwili, ale przygotowanem było oddawna, jeszcze przed wybuchem wojny światowej.

Nie tak dawno temu, jak, dzięki staraniom redaktora Krysiaka, zdemaskowano knowania ukraińskich polityków. Narobiło to wówczas wiele hałasu ale zbyt prędko o tem zapomniano, nie zdając sobie widocznie sprawy, jakie one mają znaczenie, czego chcą mentorzy ukraińskiej polityki i kto ich popiera, widząc w tem swój własny interes. Teraz dopiero wyłazi szydło z worka i jasnem się staje, że powołanie do życia Ukrainy kosztem Polski to cele i dążenia niemieckiej polityki na wschodzie, nie chcącej pod żadnym warunkiem dopuścić do tego, by żywioł polski wzmógł się i przyszedł do sił. gdyż łatwo stałby się mogło, iż upomniałby się o swoje prawa i zwrot tego, co mu przemocą wydarto.

Na razie, gdyż nie wypadało wówczas inaczej, popierało się cicho dążenia antipolskie galicyjskich Rusinów-Ukraińców, widząc w nich najskuteczniejszą broń przeciw Polakom, w otwarte karty zagrano dopiero teraz, gdy Niemcy nadają samowolnie i niepodzielnie ton całej polityce zewnętrznej mocarstw centralnych, nie wahając się bynajmniej wtrącać swoje trzy grosze nawet i w wewnętrzne stosunki w krajach swych sojuszników. którzy wobec swych niemieckich przewodników zeszli na drugi plan i zmuszeni są godzić się z ich wolą i rozkazami.

Powstanie zaś Ukrainy pod bokiem Polski i jej kosztem leży właśnie w interesie Niemiec, a owe sto tysięcy obiecanych wagonów zboża, to tylko nadprogramowy dodatek, mający za zadanie zamydlić oczy krótkowzrocznego ogółu, któremu drogą na żołądek najłatwiej trafić do serca i mózgu.

Że zaś, jak się wyżej rzekło, wiedeńskie sfery polityczne czerpią swe natchnienie wyłącznie z Berlina, nic w tem też dziwnego. że i nad Dunajem, gdzie zresztą Rusini byli zawsze faworyzowani, pogodzono się z faktem. uznając go za dokonany. W odpowiedzi zaś na upomnienia się Polaków o swe prawa, coraz częściej i wyraźniej podnoszą się głosy, że można się obejść bez ich współpracownictwa i pomocy, czyli innemi mówiąc słowy, należy puścić ich poprostu z kwitkiem.

Czy jednakowoż wyjdzie to na dobre politykom naddunajskim, to przyszłość dopiero okaże, w każdym razie należy wątpić. czy nawet we wdzięcznych Ukraińcach znajdą tak podatny i uległy dla siebie materyał. jak w Polakach, którym też tak pięknie się za to odwdzięczyli!

To jedno powinno nas przecież pocieszać, że jeszcze nie wyrzeczono w całej tej sprawie ostatniego słowa Ofiarowano rzecz obcą organizmowi jeszcze nie istniejącemu. na którego powstanie zgodzić się dopiero musi reszta Europy, a ona chyba nie zapomni o tem, że tyle razy publicznie odzywała się w sprawie polskiej i za jeden z pierwszych i najważniejszych warunków przyszłego pokoju postawiła prawo samostanowienia ludów o swym losie.

Nie należy więc załamywać rąk z rozpaczy i tracić nadziei, bo jeszcze tak źle nie jest, jak się może komu i wydaje, ale też nie powinno się i zakładać rąk i bezczynnie i z rezygnacyą oczekiwać na to co nam przyszłość przyniesie. W tak ważnej i przełomowej chwili, jak obecna, powinny zamilknąć waśnie i spory partyjne, powinniśmy jednością silni stanąć do wspólnej pracy, a wówczas na nic się nie zdadzą zabiegi i zakusy naszych wrogów, skrytych i otwartych.

Nowa wojna z Rosyą.

Kapitulacya p. Trockiego, który w imieniu Rosyi złożył deklaracyę, iż zrzeka się zawierania traktatu pokojowego, uważając jednocześnie „stan wojenny z państwami centralnemi za zakończony“, osiągnęła zgoła nieoczekiwany skutek. Niemcy uznały tę deklaracyę za... wypowiedzenie zawieszenia broni ze strony Rosyi i rozpoczęły kroki wojenne. W ten sposób rząd bolszewicki, który doszedł do władzy pod hasłem pokoju i dążył do tego pokoju za wszelką cenę — musi znowu wbrew swej woli prowadzić wojnę, co jest dla niego rzeczą o tyle trudną, że nie posiada armii, bo nie można nazwać armią zdezorganizowanych band, zmuszonych zresztą walczyć wewnątrz kraju w obronie tracącego coraz bardziej grunt pod nogami rządu bolszewików. W każdym jednak razie na wschodnim froncie skończyła się dotychczasowa idylla niemiecko-rosyjska, której jeden z epizodów — koncert niemiecki dla wojsk rosyjskich — widzimy na naszej illustracyi... Uczestnicy tej sielanki wojennej z pewnością nie przypuszczali, że tak rychło się ona skończy.



Nowa wojna w Rosyi: „Epizod z przerwanej rozpoczęciem kroków wojennych sielanki na wschodnim froncie. Żołnierze rosyjscy na niemieckim koncercie. (Fot. Bufa)

Z półek księgarskich.

Antoni Waśkowski: **„Błędne drogi“**. Romans. XVI. stron 216. Nakład Czerneckiego. Kraków 1918.

Romans dwojga ludzi jest interesującym przedewszystkiem dla nich samych; czasami ciekawi żywo jeszcze i kogoś więcej, np. sąsiadów, męża, gdy ona jest zamężną itp., ale by zająć nim t. zw. szerszą publiczność i to tak obojętnego autoramentu, jak Czytelnicy jego opisu — musi mieć w sobie coś atrakcyjnego. Atrakcyjność ta musi nadto być tak silna, iżby pozwoliła Czytelnikowi zapomnieć, że bohaterzy nie są istotami żywemi i zamiast krwi, pulsuje w nich farba drukarska, muszą oni wyjść z kartek książek: ożyć, działać i to nie szablonowo. Inaczej będą martwemi figurami z filmu, lecz nie zdobędą sobie sympatyi Czytelniczki — a jej to przecie, choć niewidocznie, dedykowane są wszelkie romansy.

Tajemnica rzeczywistego talentu romansopisarskiego, jest to siła, tworząca postacie realniejsze od rzeczywistości. Autor ma zupełną swobodę zrobić ze swym bohaterem, co mu się podoba — może go ożenić, otruć, rzucić pod tramwaj lub kanonizować. Musi jednak zdobyć zaufanie Czytelnika t. j. przedziwną chemią pisarską skrystalizować tak sytuacyę, aby mu Czytelnik wierzył, iż inaczej być nie mogło. Niewolno absolutnie zirytować Czytelnika, bo rzuci książkę w piec — a nic tak nie szkodzi autorowi, jak pochwała kucharki, „że świetnie się pali, bez nafty!“..

Waśkowski ma łaskę bogów; oni mu szepcą i dyktują takie historye, że Czytelnik znajduje w ich czytaniu już nie przyjemność, ale tak żywą siłę przykuwającą, iż, jeżeli zacznie je czytać, czuje mus pochłonięcia do końca, spóźniając się nawet do biura, czy na ślub swój .. jeżeli właśnie przedtem rozpoczął czytanie.

„Błędne drogi“ są istotnie interesującym romansem interesujących ludzi — warto się z niemi zapoznać jest to jedna z milszych znajomości, jaką w tych czasach zawrzeć można. Są mili nie banalni, i — nie mówią o wojnie, kochają się bez akcesoryów wojennych, a mimo to dość oryginalnie.

Nie będę jednak zdradzać autora — kupcie książkę, a spędzicie z nią niejedną sympatyczną chwilę — o co teraz tak trudno. Warto przyznać to Waśkowskiemu i zachęcić, by trzymał się tak pomyślnie obranej drogi.

St. Nowiński.

Ruchliwa i na polu wydawniczem zasłużona **„Książnica polska“** Towarzystwa Nauczycieli szkół wyższych we Lwowie, pomimo trudnych dla wydawców warunków, spowodowanych obecną sytuacyą, nie ustaje w pracy.

Świeżo opuściły pracę drukarską następujące aktualne publikacye:

Ks. Arcybiskup Teodorowicz: **„Z dziejowej chwili“**. Cena K 3·80. Podstawowe wytyczne naszej polityki narodowej w dobie dzisiejszej.

Dr. Hornowski Józef: **„Dysenterye i tyfusy“**. Cena K 3·80. Powszechne wykłady uniwersyteckie. Pouczające przedstawienie przebiegu obu chorób.

Voltaire: **„Charles XII“**. Cena K 3. Zajmujący opis dziejów Polski za czasów Leszczyńskiego łatwa lektura francuska z objaśnieniami językowemi prof. dra Ryniewicza.

„Polski łan“. Wiązanka pieśni współczesnych polskich poetów. Dochód przeznaczony na cele Komitetu dla ubogiej młodzieży szkół średnich we Lwowie. Cena K 4.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.